

Zakazane słowa

10 stycznia 2025

O jednym politycy nie mówią wcale. Zwykle to, o czym się nie mówi, jest najważniejsze. Nie mówią o nierównościach. A to one sprawiły, że jesteśmy bogatym krajem biednych ludzi. Ci na górze biorą sobie tak dużo, że dla reszty zostają ochłapy.

Biedniejsza połowa Polaków uzyskuje dochody odpowiadające 13% PKB. A przecież ci ludzie naprawdę ciężko pracują. Tyle że dochody z pracy maleją w porównaniu ze wciąż rosnącymi dochodami z kapitału. Ci, którzy leżą i pachną, wciąż się bogacą, a ci, którzy zasuwają od świtu do nocy, biednieją.

Właściciel kilku mieszkań nie musi już pracować i żyje dostatnio, podczas gdy budowlaniec, który te domy tworzy, rzadko kiedy jest w stanie dorobić się własnego mieszkania. Ci, którzy odbudowali Muranów czy Starówkę, dostawali mieszkania w domach, które stawiali. Natomiast obecnie jest zupełnie pewne, że budowniczowie miasteczka Wilanów nie mogą nawet pomarzyć, żeby tam zamieszkać.

Krytycy równiejszego rozkładu dochodów twierdzą, że prowadzi ona do lenistwa i niskiej wydajności. A jednak w czasach, gdy Unia Europejska była Wspólnotą Węgla i Stali, Polska była w czołówce uprzemysłowionych państw świata. Żeby postawić huty, miliony mieszkań i wyprodukować tyle węgla i stali trzeba się było wtedy nielicho napracować. Duża część dzisiejszych krezusów uwłaszczyła się na potężnym majątku wypracowanym przez miliony robotników w Polsce Ludowej. Mimo wydziwiania, że „czy się stoi, czy się leży” w końcu było co kraść i dzisiejsze elity chętnie to rozkradły. Nazwali to prywatyzacją.

Potem już poszło łatwo. Nowobogaccy sponsorowali polityków, którzy uchwalali ustawy dające pole do kradzieży, zwłaszcza do okradania pracowników. Nazywamy to wyzyskiem. Do dziś żądania

Unii Europejskiej, aby ten wyzysk nieco zmniejszyć, np. ozusować umowy śmieciowe spotyka się z twardym oporem polityków wysługujących się pracodawcom, najbogatszej grupie społecznej w Polsce i mających w głębokiej pogardzie ludzi pracy.

Kolejnym słowem, które zostało wygumkowane z naszej mowy, to słowo robotnik. Z bliżej niewyjaśnionych powodów robotnik jako słowo, jako, pojęcie. Jako podmiot nie istnieje w naszym kraju. Kiedy ostatni raz przeczytaliście albo usłyszeliście to słowo? Po pierwsze „nie ma robotników”, bo są dla władzy, mediów, wszystkich, którzy żyją z ich ciężkiej pracy całkowicie nieistotni, wręcz niewidzialni. Po drugie, gdyby te 5 milionów robotników fabrycznych przypomniało sobie, że są robotnikami i że jadą jednym wózkiem nie z pracodawcą, dla którego wypruwają flaki, tylko z innymi robotnikami, mogliby się stać zagrożeniem dla obecnego systemu dominacji i wyzysku, który sprawia, że nieustannie biedni biednieją, a bogaci się bogacą.

Robotnikom wmawia się różne rzeczy. Że są klasą średnią na przykład, choć połowa ludzi pracy żyje w niedostatku, nie zarabiając nawet minimum socjalnego. A większość nie a żadnych oszczędności. Są też robotnicy tak zakredytowani, że ich majątek można wyrazić tylko w liczbach ujemnych.

Narodowcy wmawiają im, że najważniejsze jest to, że są Polakami. Tyle że Polakami są również ci, którzy żyją z wyzysku ich ciężkiej pracy. Taka wspólnota jeźdźca z koniem nie ma żadnego sensu. Bo interes polskiego robotnika jest o wiele bliższy interesom pracowników przyjezdnych niż pracodawców.

Umowy śmieciowe, zaniżane stawki, niewypłacane wynagrodzenia, lekceważenie przepisów BHP, które wielu kosztuje zdrowie, a nawet życie. Brak prawdziwej inspekcji pracy i związane z tym totalne łamanie praw pracowniczych. Wszystko to przyczynia się do nierówności. A jest możliwe, bo państwo stoi na straży

pańszczyzny, czyli tego, aby za dużą część naszej pracy nie trzeba było wcale płacić.

W Sejmie, Senacie, samorządach nie ma już związkowców, nie mówiąc już o zwykłych pracownikach. Są tylko przedstawiciele egoistycznych interesów jaśnie państwa – właścicieli. Od wieków jaśnie państwo żądają większej pańszczyzny i niższych podatków. A państwo Polskie, klasa polityczna kłania im się w pas.

Co roku do Warszawy przybywają demonstranci. Ludzie, którzy chcą wykrzyczeć w stolicy swoje krzywdy. Jedyna reakcja jest zwykle utyskiwanie na spowodowane przemarszem, utrudnienia w ruchu samochodowym. Rezultatem jest stos zakurzonych petycji i postulatów w szafie marszałka Sejmu.

Gdyby jednak pewnego dnia ktoś namówił pokrzywdzone grupy zawodowe i społeczne do tego by przybyli wszyscy razem. To nawet nie trzeba by było iść pod Sejm czy budynek Rady Ministrów. Bo takie reprezentatywne zgromadzenia Obywateli mogłoby się ogłosić Konstytuanta. Bo nie ma bardziej wyrazistej formy demokracji, niż kiedy lud, oddolnie i bezpośrednio ogłasza nowe porządki.

W naszej najnowszej historii raz już było blisko. Kiedy na wiecach w wielkich zakładach pracy wybierano delegatów na zjazd dziesięciomilionowego ruchu Solidarności. Każdy z tych delegatów miał potężny mandat. I uchwalili program Samorządnej Rzeczpospolitej, który doprowadził do stworzenia w zakładach pracy rad pracowniczych. Gdyby tych rad nie zlikwidowano głosami PZPR-owskich aparatczyków, z kontraktowego Sejmu, nie pozwoliłyby one rozkradać majątku narodowego.

Jednym powodów buntu społecznego, który doprowadził do utworzenia „Solidarności”, były przywileje nomenklatury. Robotników oburzała nierówność. Gdy porównamy tamte nierówności i przywileje z dzisiejszymi, zrozumiemy, że powodów do gniewu jest nieskończenie więcej. Tyle że nie ma

już tej dumy, tej świadomości własnej potęgi, jaką mieli robotnicy w Polsce Ludowej. Dlaczego? Bo wmówiono im, że już nie są robotnikami, że klasy robotniczej już nie ma.

Autorstwo: Piotr Ikonowicz

Źródło: Trybuna.info